



NASZA KOSZUTKA

broszura mieszkańców dzielnicy

nr 1 (5) styczeń 2016

LUDZIE Z KOSZUTKI



„Populacja dzielnicy wynosi 12 431 mieszkańców, przy średniej wieku zdecydowanie przekraczającej miejską średnią” – to lakoniczne zdanie wprowadza często rozważania o Koszutce, zdominowane statystyczną perspektywą postrzegania naszego gęsto zabudowanego i zaludnionego kilometra kwadratowego. Wiadomo jednak przecież, że coś takiego jak „człowiek statystyczny” czy „średniony” nie istnieje. Tak jak nie istnieje „statystyczny budynek”, „statystyczne relacje między ludźmi”, nie wspominając o „statystycznym sąsiedzie”. Jacy są więc (lub byli) mieszkańcy naszej dzielnicy – ci prawdziwi, z krwi i kości?

Na to pytanie postaramy się odpowiedzieć w rocznicowym (już piątym!) numerze broszury, w całości poświęconym właśnie ludziom z Koszutki.

I nie chodzi tu o oddanie hołdu wielkim postaciom, które nobilitowały naszą dzielnicę poprzez fakt posiadania adresu zamieszkania w prostokącie zamkniętym ul. Chorzowską, Os. Duchą i Al. Korfantego. Wybitnym kompozytorom, muzykom, literatom, naukowcom, o których przecież tyle już wiemy i tyle przeczytaliśmy. Chodzi raczej o wyciągnięcie z zakamarków pamięci obrazów ludzi potocznie uznawanych za zwykłych, typowych, mieszkających jak my na pięćdziesięciu metrach kwadratowych, wydeptujących uporczywie swoją pospolicie wyglądającą ścieżkę codzienności. To w gruncie rzeczy jednak tylko pozory – wnikliwe spojrzenie zmienia nagle zatopioną w powszedniości perspektywę postrzegania i ludzie ci stają się wyjątkowi i niezastąpieni; i to nie tylko ze względu na łączące nas relacje sąsiedzkie, czy osobiste.

Dlatego też w obecnym wydaniu „Naszej Koszutki” nie zabraknie tekstów poświęconych przyjaciółom, kolegom i koleżankom ze szkolnej ławy, sąsiadom, którzy wprawdzie nie mają swojego popiersia na Placu Grunwaldzkim, ale mimo to są i pozostaną dla nas na swój sposób niezwykli. Niewątpliwie i oni zasłużyli na to, żeby ich sylwetki i aurę, którą wokół siebie roztaczają lub roztaczali, ocalić od zapomnienia.

W piątym numerze broszury zejdziemy więc, jak za dawnych lat, po schodkach do zakładu fotograficznego pani Mazurkowej przy ul. SDKPiL, przeczytamy o drużynie szczepu harcerskiego z Koszutki, o fotograf Annie Chojnackiej, czy o jedynej w swoim rodzaju, choć napiętnowanej etykietką klasy „B”, grupie szkolnych przyjaciół.

Ktoś mógłby powiedzieć: popadacie w patos, stawiacie pomniki tym, którzy odeszli, zapominając o triumfalnym pochodzie terażniejszości. Odwracacie wzrok od wielkiego projektu, w którym, jak pisał Borowski: „żywi zawsze mają rację przeciw umarłym.” Może i tak. Ale ponieważ nie działamy na zlecenie wydziału promocji miasta, możemy sobie na ten luksus pozwolić.

REDAKCJA broszury „NASZA KOSZUTKA”

CHOĆ BEZ PIENIĘDZY Z MIASTA, DALEJ DZIAŁAMY DLA WAS!

Adrian Szymura

Przewodniczący Zarządu Rady Dzielnicy Koszutka



Jeszcze kilka tygodni i minie rok od pierwszych wyborów do Rady Dzielnicy (urzędowo zwanej Radą Jednostki Pomocniczej nr 12 Koszutka), warto więc pokusić się o parę słów podsumowania. Kilka razy zostałem zapytany przez sąsiadów, zarówno tych bliższych z klatki, jak i tych dalszych z sąsiednich podwórek, czy zrobiliśmy dużo, czy mało przez ten niespełna rok działalności. Biorąc pod uwagę proces „docierania” się radnych RJP jako zespołu, mogę uczciwie odpowiedzieć: wystarczająco dużo, abyśmy mogli z podniesionym czołem spojrzeć naszym sąsiadom w oczy.

Nie minęło kilka tygodni od wyborów a musieliśmy podjąć wyzwanie organizacji dzielnicowego festynu we współpracy zarówno z parafią, jak i MDK Koszutka.

Na początku – co nie jest niespodzianką – w nasze prace często wkładał się przypadek, może nawet lekki chaos, jednak im więcej podjętych działań, tym więcej w naszej pracy pojawiało się porządku i ładu. Kiedy już opadł kurz po festynowej zabawie, czekało nas kolejne bardzo ważne zadanie, czyli rozdysponowanie kwoty 150 tys. złotych będącej tzw. budżetem rady. Jako „świeżacy” zostaliśmy rzućni na głęboką wodę – Urząd Miasta zarządził ostateczny termin na zaplanowanie wydatków do końca czerwca. Było groźnie, bo chcieliśmy wydać te pieniądze na sprawy priorytetowe i najpilniejsze, a tych przecież nie brakuje na Koszutce! Na szczęście „ostateczny termin” okazał się być terminem bardzo elastycznym, dzięki czemu kwota została rozdysponowana w całości.

Zadecydowaliśmy, aby w pierwszej kolejności wspomóc placówki oświatowe, kulturalne oraz organizacje zajmujące się pomocą społeczną, tj. przedszkola, szkoły, domy pomocy społecznej, bibliotekę oraz dom kultury. To były, jak się później okazało, bardzo trafne decyzje i dobrze wydane pieniądze, czego dowodem są podziękowania ze strony dyrekcji placówek, ale i samych mieszkańców. Niestety, o ile wsparcie finansowe poszczególnych placówek było łatwe, o tyle trudne okazały się zadania, które wiązały się z inwestycjami oraz naprawą infrastruktury. Bardzo często ze strony poszczególnych pracowników urzędu słyszeliśmy, że „czegoś się nie da”. Na szczęście upór i dociekliwość poruszały urzędnicze tryby i doprowadzały do szczęśliwego finału, dzięki czemu na Koszutce przybyło ławek, wyremontowano schody od północnej strony boiska „Rapid”, zaś wiosną 2016 pojawią się donice z zielenią m.in. na skrzyżowaniu ulic Korfantego, Misjonarzy Oblatów oraz Katowickiej. Zapomniałbym o jeszcze jednym, nie mniej ważnym: na Koszutce, w bezpośrednim sąsiedztwie Pomnika Rodziny przy Placu Grunwaldzkim, po raz pierwszy pojawiła się w okresie świąt Bożego Narodzenia najprawdziwsza w świecie choinka!

Ktoś powie: nareszcie nasza dzielnica staje się normalna. Niestety, nic bardziej mylnego. Rok 2016 zapowiada się raczej smutno, gdyż więcej tego typu prezentów ze strony Rady Dzielnicy Państwo nie otrzymacie. Prezydent Marcin Krupa, żeby posłużyć się pewnego rodzaju metaforą, zakręcił kurek z pieniędzmi wszystkim Radom Dzielnic w Katowicach. Pozostajemy więc bez środków na dotychczas podejmowane działania, skazani na łaskę i niełaskę urzędników... Mam nadzieję, że prezydent rychło naprawi swój błąd i już w roku 2017, o co solidarnie zabiegamy wraz z innymi dzielnicami, będziemy mogli służyć mieszkańcom dzielnic naszymi wspólnymi środkami budżetowymi!

Na koniec krótki apel:

Drodzy Sąsiedzi, mimo wszystkich przeciwności czekamy na Was, chcemy rozwiązywać Wasze problemy. W każdy poniedziałek oraz każdy piątek w godzinach od 18 do 19 prowadzimy dyżury w MDK Koszutka (ul. Grażyńskiego 47) – chcemy Wam pomóc!

KIEDY WSPOMINAMY ZMARŁYCH, ICH DUSZE SĄ SPOKOJNE

Paweł Satala

Reżyser, radny Rady Dzielnicy Koszutka



Tworzyliśmy ciekawą klasę uczniowską. Klasę "B". Z założenia byliśmy gorsi od uczniów z "A". Ale czy ktoś pamięta jeszcze klasę "A"? Podpowiadam: oczywiście, że niewielu. Bo to my z "B" byliśmy "tymi fajnymi".

Nie ma już naszej dawnej szkoły, zostały tylko mury, tchnięto w nie już inne życie.

Pamiętacie? W naszej starej szkole był basen! Tak, tak, prawdziwy basen. To była szkoła!! Szkoła z basenem!

Pamiętacie? Jak starsi uczniowie wyświetlali nam filmy? Oni potrafili obsługiwać duży terkoczący projektor i zakładać taśmę filmową! A SKO? Szkolną Książeczkę Oszczędnościową pamiętacie!?

My, byli uczniowie wyszliśmy na ludzi i rozpierzchliśmy się po świecie.

Z Tomkiem przyjaźnię się od piątej klasy, znamy się dłuugo... ponad 45 lat. Dłużej niż z moją żoną! Spotygam często Andrzeja. Spotygam Andrzeja zawsze w tej samej okolicy, od lat w prawie tym samym miejscu. Nie opuścił Koszutki. Wybrał inną opcję na życie. To też jeden z moich łączników ze wspomnieniami z tamtych lat. Spotygam jeszcze Janusza. Spotygam, choć Janusz zmarł tak dawno temu, tak młodo. Staliśmy kiedyś razem na Rondzie. Mieliśmy już trochę więcej niż 16 lat. Janusz zmienił nazwisko. Zmienił się także on sam. W szkole był rozrabiaką jakich mało. Silny dzieciak. Nikt mu nie podskoczył. Dziś powiedzielibyśmy – respekt. Janusz zawsze pierwszy na murku (mieliśmy oczywiście absolutny zakaz wchodzenia na murek). Zawsze najlepszy w ataku (wybierany metodą tip-top). Nasz inny kolega z ławki – Marcin – wrócił kiedyś do domu z 4 centymetrową dziurą w głowie. Kolejna ofiara szarpaniny. Popchnięty uderzył o kaloryfer. Szpital, szwy, bohater. A Janusz... specjalnie Marcina na kaloryfer przecież nie pchnął... Janusz był klasowym postrachem, rozrabiaką, a nasze przygody szkolne i podwórkowe w niczym nie odbiegały od przygód Mikołajka. Na tym przystanku, wtedy, nie przypominał już rozrabiaki. Stonowany, inteligentny dorastający człowiek z całą młodością przed sobą. Długo rozmawialiśmy. Niestety miała to być nasza ostatnia rozmowa. Zachowały się zdjęcia klasowe. Na nich Tomek K., Andrzej M., Marcin Sz., Janusz P. i wszyscy inni, których imiona pamiętam, nazwiska zapomniałem i na odwrót. Jest i Kasia N., w której się podkochiwałem, i chyba nie tylko ja, bo w całym budynku, w którym mieszkałem, ktoś – może z zazdrości – powypisywał, kto jeszcze kocha Kasię N. A było tych amantów sporo! Ania R. klasowa piękność, Joasia K. zawsze pogodna, zawsze wesoła, Piotr K. zaprosił mnie kiedyś na swoje urodziny, Grzegorz G. pełen fantastycznych opowieści. Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych spotykałem niedaleko poczty na Morcinka naszą wychowawczynię panią Wrześniowską. Wszystkich nas pamiętała, a przecież nie byliśmy jej jedynymi uczniami. Może miała do nas sentyment, sentyment na pewno odwzajemniony. Jakby nie było, byliśmy przecież klasą "B".

AWARIA TELEWIZORA

Wspomnienie Anny Chojnackiej (1914-2007)

Tobiasz Janikowski

Poniemiecka willa otoczona typową dla Koszutki cztero- i pięciopiętrową zabudową. Okna wychodzące na wszystkie strony świata. W bezpośrednim sąsiedztwie kilka sędziwych drzew pamiętających jeszcze czasy przedwojenne.

To dom, który widzę codziennie zaspany wstając z łóżka, podciągając rolety okienne. Ale to nie zwykła willa, jakich wiele zobaczyć można w Katowicach. To miejsce, w którym mieszkała Anna Chojnacka – wybitna fotograf, przez dekady wpływająca znacząco na życie kulturalne naszego miasta, pokazująca dorobek śląskich artystów, nade wszystko z niesłychaną wręcz systematycznością i inwencją dokumentująca rozwój i powstawanie powojennych Katowic.



Była dobrą znajomą moich dziadków, wpadała czasami na kawę w niedzielę, opowiadała mnóstwo anegdot i zabawnych historii. Z jednej strony miała w sobie niezłomną energię życiową, z drugiej strony pewną dystynkcję; od nas dzieci skażonych podwórkowym slangiem wymagała zawsze poprawnej wymowy. Stosunkowo wcześnie owdowiała, więc choć nie brakowało jej siły życiowej i pomysłów, mogła, co zrozumiałe, odczuć czasem mniej lub bardziej doskwierające osamotnienie.

Ale samotniczego życia introwertycznego, skłóconego ze światem artysty nigdy nie prowadziła. Zawsze szukała kontaktu, bliskości ludzi, jej naturalnym środowiskiem były miejsca dialogu i wymiany poglądów. Przez lata wynajmowała pokój studentom (z silnym wskazaniem na tych z Akademii Muzycznej i ASP). Spotykałem ją czasem po sąsiedzku w drodze do sklepu lub przychodni lekarskiej, starsza ode mnie o dwa pokolenia zawsze zagadywała z uśmiechem: „co słycać?”, „jak tam gospodarstwo domowe?”. Choć w jej zachowaniu odczuwalny był pewien dystans osoby niezwykle kulturalnej, nie była typem nobliwej, dystygowanej starszej damy. Mówiła prosto, dowcipnie, błyskotliwie, zawsze taktownie, nie widziałem i nie słyszałem nigdy, żeby prowadziła z kimś kłótnię lub powiedziała coś niestosownego.

Ponieważ przeżyła moich dziadków o ponad dekadę (jak tylko pamiętam zawsze była w świetnej formie, po osiemdziesiątce jeździła na nartach i odbywała dalekie podróże!), znajomość z nią odziedziczyłem niejako w spadku. Dzwoniła czasem pod dobrze jej znany numer telefonu, pytając czy telewizja działa, bo u niej tylko mrowienie i pisk z kineskopu. Wpadałem wtedy do niej na parę minut, regulowałem telewizor, potem popijaliśmy herbatę i oglądali albumy zdjęć, które wtedy dla mnie, zabieganego licealisty, niewiele znaczyły. Dziś wiem, że były to prawdziwe skarby, w szczególności oryginały fotografii, które mi pokazywała, przyozdabiając je jednocześnie szczegółowymi opisami i wyjaśnieniami. A były to zdjęcia niezwykle różnorodne: z pochodów, uroczystości rocznicowych, spotkań z ówczesnymi artystami i notablami. Szkielet Spodka, pierwsze domy na Os. Marchlewskiego, zarys Ronda – to wszystko po raz pierwszy widziałem u niej. Nie przywiązywałem wtedy do tego jakiejś szczególnej wagi. Dopiero na studiach, czytając artykuły i publikacje dotyczące spraw naszego regionu, coraz częściej natrafiałem na jej nazwisko (wymieniał je chociażby jeden z najwybitniejszych humanistów związanych z Katowicami, prof. Sławek). Wtedy dopiero powoli docierało do mnie, jak wielką wartość stanowiła Anna Chojnacka dla Katowic i regionu, jak wartościowe były też nasze „zupełnie przypadkowe” pogawędki motywowane koniecznością naprawy telewizora.

Dziś, osiem lat po jej śmierci, nachodzi mnie refleksja, że czasem nie doceniamy – również w naszej dzielnicy – osób wybitnych, wartościowych, być może naznaczonych iskrą geniuszu. Swego rodzaju proroków nierozpoznanych w swoim własnym kraju. Widzimy często tylko ich zewnętrzną otoczkę: ludzi skromnych, zwyczajnych, nie obwieszonych medalami i dyplomami. To zresztą nic nowego: podobno Cesarz Austrii Józef II po spotkaniu z Mozartem zmniejszył mu znacząco pensję twierdząc, że jest gorszym muzykiem i kompozytorem niż jego poprzednik Gluck. Osoby wybitne, żyjące w swoim niezwykłym świecie, często mimo takich doświadczeń nie „wydrapują pazurami” tego, co swoje.

Po Annie Chojnackiej nie mam żadnej pamiątki; nie zabiegałem o kopie jej fotografii, czy o któryś z albumów, które pewnie dałaby mi w prezencie z przyjacielskim uśmiechem. Jedyną pamiątką, jaka po niej została, są sadzonki tulipanów, które niegdyś otrzymała od brata z Kanady, by następnie podarować je mojemu dziadkowi, zapalonemu ogrodnikowi. Nie były to jakieś kwiaty, choć smukłe i delikatne, to jednak odporne na mrozy i suszę. Wszak przepłynęły Atlantyk docierając do Polski przez „żelazną kurtynę”.

Którejsz z wybitnych fotografii Anny Chojnackiej z jej odręcznym autografem już nie dostanę.

Ale pociesza mnie nadzieja, że i w tym roku na wiosnę zakwitną tulipany.

PANI RÓŻA

Wspomnienie Barbary Koziół - komendantki VII Szczepu Harcerskiego im. Szarych Szeregów

Iwona Zych

nauczyciel, kulturoznawca, radna Rady Dzielnicy Koszutka



Przemarsz w kierunku Wieży Spadochronowej, komendantka kroczy tuż za sztandarem.

Komendantka, Pani, Druhna, Koza, Pani Róża. To tylko niektóre z jej przydomków. Używane w rozmowach o Niej. Stosowane w zależności od natężenia emocji opowiadających – raz była Komendantką, raz Kożą, innym razem Panią Różą, bo wiadomo, róża ma kolce. Druhna też je miała. Musiała je mieć, bo inaczej nie stworzyłaby potęgi harcerskiego szczepu przy Szkole Podstawowej nr 36 na Koszutce.

Pomysł założenia pierwszej drużyny harcerskiej przy szkole powstał zapewne z wielkiej pasji, z zaangażowania i potrzeby znalezienia własnego miejsca wśród ludzi. Utalentowana nauczycielka plastyki i wychowania technicznego uczyła kreatywności, barwnie opowiadała o sztuce, inspirowała i stosowała różnorodne interesujące techniki.

Powstałe na jej lekcjach rysunki i inne dzieła ozdabiała i szkołę, i harcówkę. Prace, z których nie była zadowolona, lądowały na podłodze, smętnie tam leżały, dopóki równie smętny marny twórca ich stamtąd nie zabrał. Do dziś, gdy wchodzę do szkoły, wydaje mi się, że słyszę Druhnę, jak w pracowni wychowania technicznego prowadzi lekcję z chłopakami z klas starszych. Słysząc było wtedy młotki, wiertarki, piłowanie, imadło. Czasem prowadzenie zajęć wzmacniała melodyjnym gwizdaniem. A gwizdnąć potrafiła na palcach, bez palców, delikatnie, trwożnie – za każdym razem imponująco! Gdy prowadziła zajęcia, drzwi były zawsze otwarte.

Nie była postacią jednoznaczną, czasem wręcz kontrowersyjną. Jej sposób bezpardonowej oceny sytuacji i dyscyplinowania budził niejednokrotnie zastrzeżenia, ale jednocześnie dawała z siebie wszystko. Jednym spojrzeniem potrafiła wyrazić dezaprobatę, innym razem przypinała skrzydła. Budziła emocje, z iskry talentu dziecka rozniecała płomień. Wszystko, co robiła, było na najwyższym poziomie organizacyjnym, estetycznym. Wzruszała, potrafiła wyróżnić, nagrodzić lub potępić.

Zdawało się, że tak naprawdę zaczynała swą najgorętszą pracę dopiero po południu, gdy w piwnicznych pomieszczeniach przekształconych na piękną harcówkę pojawiali się harcerze, instruktorzy, zuchy. Wszystko przemyślane, wciąż niezmiennie interesujące, prowadzone z wielkim entuzjazmem i radością. Harmonogram zajęć z zuchami i harcerzami to była karkołomna logistyka. Wyobraźcie sobie; sama prowadziła „Akordy”, śpiewający zespół starszych harcerzy, „Nutki” – śpiewające zuchy, „Pacyнки” – dziewczęcy zespół taneczny oraz „Pędzelek” – zajęcia plastyczne dla szczególnie utalentowanych.

Oprócz tego nadzór nad drużynami harcerskimi, zuchowymi, drużyną wodniaków, prowadzenie biwaków oraz coroczne organizowanie obozów gdzieś w Polsce. Oczywiście do tego wszystkiego miała wiernych druhów i druhny do pomocy, szczególnie zaś męża, który nazwany przez dzieci Słoneczkiem, był współtwórcą, współorganizatorem i wielkim przewodnikiem nas wszystkich.

Idea była prosta; wychowani w harcerstwie starsi instruktorzy zajmowali się młodszymi, dla których już w miarę samodzielnie organizowali zajęcia. Nie wyobrażałam sobie, by nie przyjść na zbiórkę, nie przygotować się do niej, nie brać czynnego w niej udziału. Założenia harcerstwa to przecież samodzielność, odpowiedzialność, wspólnotowość, kultywowanie tradycji. Lecz to nie była tylko musztra i odpowiadanie na rozkaz. W sercu i umyśle Druhny jak w jakiejś niewyczerpanej skarbnicy powstawały wciąż nowe pomysły.

Właściwie wszystko, co działo się w czasie roku szkolnego na zbiórkach, było dopełnieniem letniego obozu z jednoczesnym planowaniem tego następnego. Bo to była przygoda, bo to była wielka przygoda! 24 dni w środku lasu, nad jeziorem, z dala od ludzi. Prywatne wyposażenie musiało zmieścić się w regulaminowym plecaku i chlebaku, przytroczony koc, śpiwór, menażka i garnuszek. Koniecznie gumowce. Materace, łóżka polowe, namioty i całe wyposażenie kuchni i jadalni jechało razem z kwaterką, czyli najstarszymi harcerzami. My, młodszy, przyjeżdżaliśmy nad ranem i musieliśmy rozłożyć i urządzić swój namiot, zbudować podobozy, bramę, wykopać latryny, głębokie doły na śmieci. Mieliśmy tam, w środku lasu, swoją bazę, po której nie zostawał ślad, jakby nas tam w ogóle nie było. Każdy dzień obozowania to inna przygoda, od porannej gimnastyki do ogniska a czasem i do rana, gdy przyszła pora na wartę lub dyżur w kuchni. Obrac ziemniaki dla setki głodnych, przygotować kanapki, od rana do nocy było co robić. Wyprawy do odległych miejscowości na zwiady, biegi,

musztra na leśnej ścieżce, zabawy, pływanie, wieczorem ognisko, na które zawsze trzeba było coś przygotować... Mieliśmy swoich ratowników, pielęgniarkę – wszyscy z własnych zasobów harcerek i harcerzy.

A nad tym wszystkim czuwała Ona – Druhna. Pamiętała, by było bezpiecznie, interesująco, trochę tajemniczo, trochę zagadkowo. Trzeba było się bardzo starać, wszystko widziała, wszystko słyszała. Mieliśmy poczucie tego, że jesteśmy w środku czegoś bardzo interesującego i ważnego.

Do dziś istnieją harcerskie małżeństwa, przyjaźnie. Spotykają się dawni harcerze, wspominają, opowiadają anegdoty. Rozpoznają się na ulicy, w biurach, szpitalach, sklepach, bankach, szkołach, w odległych krainach, przypadkiem na wakacjach. Są i tacy, którzy pomagają sobie w potrzebie.

Tak było, gdy Druhna zachorowała, jej harcerze i harcerki opiekowali się nią do ostatnich chwil. Zmarła w marcu 1995 roku. Czuwaj Druhno! Mam nadzieję, że wiesz, ile Ci zawdzięczam... ja, szara harcerka.



Pierwsza z lewej (w okularach) autorka tekstu, na pieńku zamyślony Włodzimierz Zarodkiewicz (radny Rady Dzielnicy Koszutka).

BIBLIOTEKA NA GRAŻYŃSKIEGO – WYDARZENIA W LUTYM



Fot. Katowice, ul. Warszawska (Friedrichstrasse, Marszałka Józefa Piłsudskiego), 1920 r.

Z dziejów ulicy Warszawskiej – wystawa fotografii, pocztówek i map przedstawiających jedną z najstarszych katowickich ulic, udostępniona przez Muzeum Historii Katowic. Wystawa czynna do 31 marca 2016. Filia nr 11, ul. Grażyńskiego 47, Katowice-Koszutka

„Z dziejów ulicy Warszawskiej” jest pierwszą z cyklu wystaw poświęconych historii katowickich ulic. Ulica Warszawska powstała jeszcze w czasach średniowiecznych, jako trakt prowadzący z Mysłowic, przez Szopienice i Bogucice do Kuźnicy Boguckiej. Jej znaczenie bardzo wzrosło wraz z nabyciem Katowic przez Franza Wincklera i przeniesieniem tutaj zarządu jego dóbr.

Według pierwszego urbanistycznego planu Katowic z roku 1856, główną oś przyszłego miasta stanowić miały obecne ulice Warszawska i 3 Maja oraz dwa place – obecnie rynek i pl. Wolności. W 1865 król pruski, Wilhelm I, nadał Katowicom prawa miejskie. Przyspieszyło to znacznie ich rozwój, tym samym zaczęło wzrastać znaczenie jednej z głównych ulic miasta. Friedrichstraße (bo taką nazwę nosiła wtedy obecna ul. Warszawska), znana była jako ulica willowa. Swoją siedzibę miały przy niej również dwa najważniejsze dla Katowic urzędy: Rada Miejska i Starostwo Powiatowe.

10 lutego 2016 r., godz. 17.00

Izolda Kwiek – spotkanie z poetką, animatorką kultury, tłumaczką. Spotkanie otwiera cykl *Wielokulturowy Śląsk*.

Filia nr 11, ul. Grażyńskiego 47, Katowice-Koszutka

Izolda Kwiek to znana romska poetka i działaczka społeczno-kulturalna. Jest autorką 12 tomików poetyckich, w tym: *Gdyby jutra nie było*; *Gorzka miłość*; *Jak dotyk słońca*; *Tabor Izoldy*; *Na gorąco*. Pełniąc funkcję prezeski Stowarzyszenia Romów *Gandi* angażuje się w pomoc i działania na rzecz społeczności romskiej. Pracuje w Szkole Podstawowej nr 36 w Rudzie Śląskiej, jako asystentka romska. Prowadzi rodzinę zastępczą, jest tłumaczem języka romskiego, tancerką i śpiewaczką. Blisko 40 lat temu założyła zespół *Tabor*, a od 5 lat opiekuje się także zespołem dziecięcym *Maty tabor*. Wystąpiła w kilku filmach, m.in. obrazie Janusza Kidawy *Komedianci z wczorajszej ulicy* (1987). Brała udział w ponad 180 audycjach radiowych.

Wiersze pisze od 9. roku życia. Jak sama mówi: „Pisałam wszędzie i prawie cały czas. Często nie chodziłam do szkoły, ukrywałam się w piwnicy i tam tworzyłam. Zdarzało się, że kiedy nie miałam na czym pisać, ciekawe wersy notowałam na rękach. Kiedy miałam 18 lat ze strachu przed możliwością przeczytania moich wierszy przez innych ludzi bardzo dużą część moich wczesnych utworów spaliłam. Nie potrafię jednak żyć bez pisania i pisałam dalej”.

MAZURKOWA!

Małgosia z Marynią wspominają przy porannej kawce słynny zakład fotograficzny z Koszutki



Pamiętacie, ostatnio wspominałyśmy naszą „starą budę” a zainspirowane zostałyśmy zdjęciami, które odnalazłyśmy przeglądając nasze stare albumy. Przy okazji przeglądania różnych starych zdjęć, szukając tych na których była nasza szkoła zauważyłyśmy, że wiele fotek z naszego dzieciństwa, to fotki wykonane przez tego samego fotografa. Natychmiast też zgodnym chórem wypowiedziałyśmy... MAZURKOWA! Po tylu latach... pamiętamy dokładnie nazwisko, pamiętamy jak ta Pani wyglądała, pamiętamy też, że zawsze była uśmiechnięta. Niestety z przykrością stwierdzamy, że nie znamy nawet Jej imienia ☹.

Zakład fotograficzny, w którym Pani Mazurkowa miała swoją pracownię, znajdował się wówczas przy ulicy SDKPiL 9 (obecna Iłłakowiczówny). Tak, to właśnie ten maleńki – mieszczący się w suterenie lokal, do którego wchodziło, a raczej schodziło się po kilku schodkach. Jak dowiedziałyśmy się niedawno, obecnie lokal ten został pozyskany jako „lokal na kulturę”. To miłe, że znowu coś interesującego będzie się tam działo. ☺ Należy dodać, że prawie zawsze czekało się tam w kolejce. Należało się zatem uzbroić w cierpliwość, ale warto było poczekać, bo zdjęcia wykonane przez Panią Mazurkową były naprawdę bardzo piękne. Prawie zawsze wykonane na matowym papierze i prawie zawsze z tzw. retuszem. Czasem silniejszym, czasem bardzo delikatnym. Pamiętam doskonale pod jakim wrażeniem byłam, gdy pewnego razu przyszłam odebrać zdjęcia tzw. legitymacyjne i Pani Mazurkowa poprosiła, aby chwilę poczekać. Patrzyłam na Nią z podziwem, jak pięknie zatemperowanym ołówkiem, sprawnymi ruchami „poprawiała” jakieś niedoskonałości na fotografii, które tak naprawdę tylko ona widziała. A za chwilę z uśmiechem wręczyła mi zdjęcia. Zobaczcie, jak bardzo charakterystyczne są te zdjęcia. Na każdym przechyłona główka, uśmiech, wzrok skierowany w odpowiedni punkt.



Pani Mazurkowa ze swoim aparatem fotograficznym była z nami przez wiele lat!

To ONA „ocaliła od zapomnienia” wiele chwil z naszego codziennego życia. Od pierwszej klasy aż po ślub. Także to zdjęcie, pamiątka I Komunii, też zostało wykonane przez Panią Mazurkową.

Te zdjęcia są charakterystyczne i dlatego bardzo są „rozpoznawalne” i jak sądzimy – a właściwie możemy nawet się założyć – każdy mieszkaniec Koszutki znajdzie u siebie przynajmniej jedną fotkę wykonaną przez „naszego” dzielnicowego fotografa Panią Mazurkową. Wystarczy tylko poszperać troszkę w albumach, szufladach, czy innych pudełkach. Jeśli nasze wspomnienia sprowokowały Was do tego to bardzo się cieszymy.

A może ktoś z Was ma więcej informacji o Pani Mazurkowej?
A może KTOŚ ma Jej fotkę?

Zachęcamy, podziel się z nami tymi informacjami np. na FB.

Wspominały: Małgorzata Domaradzka i Marianna Wójcik.

Zdjęcia, na których są Małgosia i Marynia, pochodzą z ich z prywatnego archiwum. Zdjęcie lokalu z ul. Iłakowiczówny 9 zaczerpnięto z Internetu.



Stopka redakcyjna

Koordinacja prac redakcyjnych, wybór tekstów: Tobiasz Janikowski [kontakt: njnt@o2.pl]. W broszurze wykorzystano fotografie i materiały graficzne pochodzące z prywatnych archiwów autorów.